

Jak dziennikarze weryfikują informacje

Piotr Zaremba

Zaczynałem pracę dziennikarza w 1991 r., jednak po innych studiach niż dziennikarskie. Nie miałem więc okazji poznać dziennikarskiego kodeksu norm zawodowych na uczelni. Poznałem go jednak w swojej pierwszej redakcji. To było dla nas wszystkich wtedy ważne. Dziennikarstwo miało być bowiem inne niż w czasach PRL.

W poszukiwaniu wiarygodności

Niektóre z tych norm od początku uważaliśmy za niespełniane do końca ideał. Na przykład zalecenie rodem z BBC, aby każdą informację w miarę możliwości potwierdzić w co najmniej dwóch źródłach. Owo „w miarę możliwości” otwierało szerokie pole do kompromisu z rzeczywistością. Natomiast inne zasady – przede wszystkim ta, że dajemy głos obu stronom konfliktu, a jeśli kogoś demaskujemy, to pozwalamy mu się bronić, pytamy go więc o komentarz – były bardziej realistyczne.

Istniały jeszcze zalecenia dotyczące samego redagowania gazety – na przykład oddzielenie samego newsa od komentarza na jego temat. Panowało bowiem przekonanie, że zapewnia to samej informacji wiarygodność. Choć niektóre rodzaje mediów tego nie przestrzegały – tygodniki oferowały teksty będące mieszaniną opowieści o rzeczywistości i publicystyki – to próbowano jednak stosować tę zasadę w gazetach codziennych i mediach elektronicznych.

Zasada potwierdzania newsa przez sięgnięcie przynajmniej do drugiego źródła zmierzała do zagwarantowania dziennikarskiej staranności i rzetelności.

W przypadku faktów powszechnie dostępnych w ogóle nie trzeba niczego potwierdzać. Z kolei teksty dotyczące rozmaitych tajemnic z reguły maskowały źródła, można więc to zalecenie uznać za adresowaną do samych dziennikarzy wskazówkę moralną. W teorii także i prawną, ale przecież i tak zobowiązujemy się do nieujawniania swoich źródeł, nawet podczas postępowania sądowego. Można za to widzieć w tych zasadach dodatkowe upewnienie nas samych, że piszemy tekst solidny i udokumentowany.

W pułapce jednostronności

Co nie znaczy, że naruszanie tej zasady nie bywa usprawiedliwione. Wyobraźmy sobie sytuację z mojego podwórka, dziennikarza politycznego. Ktoś relacjonuje nam rozmowę dwóch znaczących polityków w cztery oczy. Czasem ma to bardzo widowiskową naturę. Każde spotkanie prezydenta Lecha Kaczyńskiego z premierem Donaldem Tuskiem między rokiem 2007 a 2010 kończyło się przeciekami.

Źródłem pierwotnym informacji musi być jeden z nich, choć może ją przekazywać ktoś z otoczenia któregoś z polityków, kto sam usłyszał tę relację z ust uczestnika zdarzeń. Nie opublikujemy tego? Jesteśmy jednak zdani na możliwość wprowadzenia nas w błąd. Wiele zależy od naszej własnej oceny wiarygodności źródła. Czy w innych sytuacjach ów rozmówca był prawdomówny? Czy jego relacje się sprawdzały? W przypadku wspomnianych przecieków ze spotkań na szczycie Kaczyński-Tusk ich źródłem były z reguły osoby z otoczenia Tuska. Nic dziwnego, że malowano obraz niekorzystny dla prezydenta.

Oczywiście, jeśli nie mamy pewności, możemy naszego newsa zrelatywizować, dodając do opowieści zastrzeżenie: „Jak podają kręgi zbliżone do ...”, „Jak twierdzi polityk bliski (i tu nazwisko) ...”. Kłopot polega na tym, że ujawniając nieoficjalną informację wielkiej wagi, jesteśmy równocześnie zainteresowani tym, aby zabrzmiała ona wystarczająco kategorycznie. Staramy się ją więc obiektywizować. Inaczej całe nasze odkrycie może zostać uznane za wątpliwe albo podejrzané. Dziennikarz zawsze będzie się tu poruszał między dwoma celami – z jednej strony chęcią przekonania publiczności, że naprawdę wie coś „na pewno”, a z drugiej – zamiarem powiedzenia prawdy, a nie czegoś, w co sam nie do końca wierzy.

Plotka, czyli fakt

Oczywiście są sytuacje, w których konieczność potwierdzania newsa staje się sama w sobie czymś absurdalnym. Kilka lat temu podawałem co parę miesięcy informację o dymisji wiszącej nad jednym z ministrów rządu Beaty Szydło. Kiedy go spotkałem,

zareagował pretensjami. Rozumiem go, taki news nie wzmacniał jego pozycji we własnym resorcie ani wśród kolegów polityków.

Jednak minister ów zażądał, abym przed każdą następną publikacją tego typu potwierdzał newsa u niego. Próbowałem mu wytłumaczyć, że ani nie jest w tej sprawie bezstronny (to oczywiste, że będzie zaprzeczał), ani też niekoniecznie musi być osobą wtajemniczaną w plan własnego odwołania. Decydowali o tym inni. Wkrótce został rzeczywiście zdymisjonowany.

Oczywiście takie newsy, które nie potwierdzają się natychmiast, wywołują u części czytelników, zwłaszcza jeśli uderzają w lubiane przez nich osoby, wrażenie dziennikarskiej nierzetelności, szukania sensacji za wszelką cenę. Dlatego nie należy przesadzać z ich mnożeniem. Zarazem istnienie plotki także jest swoistym faktem. Wartym odnotowania, z zastrzeżeniem wszakże, że opisujemy zjawisko nieco innej natury niż twarde dane. I tu trzeba być ostrożnym.

Dziennikarz może bowiem łatwo z opowiadacza rzeczywistości stać się jej kreatorem.

Ładnie pokazuje to scena z serialu *House of Cards*. Ma być powołany nowy sekretarz stanu. Prezydent USA komentuje wraz ze swoją szefową gabinetu domysły jednego z politycznych portali internetowych wskazujących tę, a nie inną osobę. I właściwie zaczynają się tym kierować, choć to przecież oni, a nie ten portal, będą autorami decyzji personalnej.

Newsy polityczne rzadko bywają przedmiotem procesu sądowego. Politycy na ogół nie występują z pozwami, kiedy przypisuje im się taką, a nie inną treść sekretnych rozmów czy przebieg zamkniętych spotkań. Daje to dziennikarzom politycznym większą swobodę, ale też naraża na pokusę manipulowania faktami. Niektóre z nich dobrze znające scenę polityczną dziennikarz może na dobrą sprawę nawet wymyślać. Tylko jego wcześniejsza reputacja i prestiż mogą go uchronić przed podobnymi oskarżeniami.

Ryzyko błędu sapera

Inaczej jest w przypadku dziennikarzy śledczych. Tu ryzyko pomyłki jest większe, często bowiem ma wymiar procesowy. Stąd konieczność weryfikowania informacji w kilku miejscach czy potwierdzania ich przez dokumenty. W tej sytuacji zasady etyki dziennikarskiej chronią przed błędem sapera.

Konieczność poznania wersji postaci, której stawia się konkretne zarzuty, często związane z odpowiedzialnością polityczną i prawną, chroni dziennikarza śledczego przed zarzutem nierzetelności, który może paść przed sądem. Jednak te same zasady mogą być także kulą u nogi osłabiającą skuteczność tekstu. Pytamy kogoś: „Co pan na to?”, a ten ktoś detonuje temat w przychylnych sobie mediach. Znam takie przypadki. I nie ma żadnej generalnej recepty, jak temu zaradzić.

Skądinąd i dziennikarz śledczy może popaść w jednostronność. Chodzi tu o innego typu ryzyko: uzależnienie się od jego źródła, na przykład instytucji zainteresowanej ujawnianiem jednych informacji, a ukrywaniem innych. Poszczególne opisywane przez dziennikarza fakty mogą być prawdziwe, ale obraz utrwalonej w jego tekstach rzeczywistości skrzywiony.

To ryzyko dotyczy także dziennikarzy politycznych (choć także opisujących gospodarkę lub wymiar sprawiedliwości). Jako człowiek zajmujący się tematyką polityczną od lat często rozpoznaję dziś, czyje anonimowe wypowiedzi cytuje dany dziennikarz albo z czyjego punktu widzenia naświetla rzeczywistość. Sam też kilka razy stanąłem wobec ryzyka nadmiernego uzależnienia się od znajomego polityka, którego rozumowanie przejmowałem i którego wersję zdarzeń uznawałem za najbardziej wiarygodną.

Uwięzieni w bańkach

Dziś to zjawisko jest bardziej rozpowszechnione ze względu na szczególnie mocny związek dziennikarzy z rozmaitymi opcjami politycznymi. Wyjście z własnej „bańki informacyjnej” wymaga wielkiej determinacji. Równocześnie mamy inne zjawiska negatywnie wpływające na kształt dziennikarskich tekstów.

Natura mediów internetowych wymusza tempo produkowania tekstów, także kreujących nowe newsy. Liczy się klikalność, zatem opłaca się podkreślanie ich wymowy przez drapieżne, często deformujące rzeczywistą treść tytuły.

Kształt biznesowy wszystkich mediów utrudnia inwestowanie w teksty powstające dłużej niż dzień, dwa. Kiedyś dziennikarstwo śledcze opierało się na publikacjach przygotowywanych tygodniami, jeśli nie miesiącami. Dziś wystarczy „gotowiec” podsunęty przez zaprzyjaźnionego polityka czy urzędnika. Nieweryfikowany starannie, nieanalizowany potem w dalszych poszukiwaniach prawdy. Służący jedynie wywoływaniu takiego, a nie innego wrażenia, najczęściej negatywnego wobec danego uczestnika zdarzeń.

Dotyczy to także innych standardów. **Teraz już w niemal wszystkich mediach zaciera się granica między informacją i komentarzem.** Nie pamięta się o obowiązku powołania się na wcześniejszą publikację kogoś innego, jeśli korzystamy z niej. Przeciwnie, w wielu mediach zakazuje się tego, bo to przecież działanie „na rzecz konkurencji”.

Słabnięcie ekonomiczne mediów, szczególnie papierowych, skazuje nas na przypadkowość i bylejakość. Nie wiem, czy dziś w redakcjach przyjmujących bardziej mediaworkerów niż dziennikarzy ktoś jeszcze przypomina o dawnym kodeksie dziennikarskim.

Redakcja: Anna Kaniewska